

NATO się boi

10 kwietnia 2020

Na armię amerykańską możemy liczyć tylko podczas defilad.

„Demonstracja zdolności wojsk amerykańskich do szybkiego przerzutu znaczących sił bojowych w celu wsparcia NATO i reakcji na każdą sytuację kryzysową” – tak na internetowych stronach US Army reklamowane były ćwiczenia wojskowe o kryptonimie „Defender Europe 20”.

Sztabowcy natowscy od miesiący opracowywali plany największej od 25 lat operacji przerzucania sił amerykańskich do Europy. W ćwiczeniach zaplanowano udział 37 tysięcy żołnierzy państw sojuszniczych, w tym 20 tysięcy żołnierzy amerykańskich przerzuconych bezpośrednio z terytorium USA i kolejnych 9 tysięcy, którzy stacjonują w Europie. Udział wojska polskiego zaplanowano na 3 tysiące żołnierzy.

Manewry miały polegać na transporcie sprzętu i ludzi oraz ćwiczeniach na terenie najpierw Polski, a potem Litwy, Łotwy i Estonii.

Pełną parą. W styczniu z kilku portów amerykańskich wypłynęły dwunastoma trasami konwojowymi okręty transportowe. Przemierzały 4 tys. km, wioząc tysiące ton sprzętu bojowego. Atlantykem płynęło ok. 1430 pojazdów kołowych i 800 pojazdów gąsienicowych, w tym najnowsze warianty czołgów M1 Abrams i bojowych wozów piechoty M2 Bradley.

W lutym konwoje dotarły. W kilku europejskich portach, w tym w belgijskiej Antwerpii, holenderskim Vlissingen, niemieckim Bremerhaven i estońskim Paldiski rozpoczął się rozładunek. Od tej pory sprzęt miał się przemieszczać na własnych kołach i gąsienicach.

Do przywiezionych maszyn bojowych dołączyły te stojące w europejskich hangarach. Po rozgrzaniu silników większość

ruszyła do Polski – do Drawskiego Pomorskiego, gdzie zaplanowano najważniejsze operacje ćwiczebne.

Pierwsze dwie kolumny amerykańskich wojsk wjechały do Polski z Niemiec po ósmej wieczorem 28 lutego. Kolejne wjeżdżały w ciągu następnych dni przez Świecko i Kołbaskowo.

Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad oraz policja porozwieszały ostrzeżenia o transportach oraz informacje, jak mają się zachowywać kierowcy, gdy taką kolumnę militarną napotkają. Co było ważne, bo trasy i godziny przejazdów zostały zaplanowane tak, aby w jak najmniejszym stopniu utrudniać życie codzienne mieszkańców. Kolumny przemieszczały się zatem głównie nocą.

Miłe złego początku. 28 lutego manewry „Defender Europe 20” dostały zwyczajowe błogosławieństwo Moskwy. Szef Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych Rosji Walerij Gierasimow stwierdził, że w obliczu „braku dialogu” między Zachodem a Rosją ćwiczenia te mają charakter „wyraźnie prowokacyjny”. „Jesteśmy zaniepokojeni wzmożeniem działań NATO w pobliżu granic z Rosją. Zbliżające się manewry wojskowe odbędą się na podstawie antyrosyjskich scenariuszy, przewidujących ćwiczenie operacji ofensywnych” – rzekł rosyjski generał. Ćwiczenia można było zatem uznać za rozpoczęte.

Założenia manewrów mówiły, że główne siły ludzkie wojsk amerykańskich w liczbie 14 tysięcy dotrą na poligon, gdy już cały sprzęt tam dojedzie. Czyli około 10 marca.

Coś się stało. Samoloty transportowe jednak się nie pojawiały. Próbujący się czegoś dowiedzieć dowódcy ćwiczeń i polskie Ministerstwo Obrony Narodowej były przez Waszyngton zbywane formułkami, że z powodu koronawirusa doszło do zamieszania w kwestiach logistycznych, ale niebawem sprawy się wyjaśnią i wojsko wystartuje.

Chodziło o to, że prezydent Donald Trump właśnie zakazał przylatywania do Stanów Europejczykom, zaś Pentagon wprowadził

ograniczenia administracyjne wobec wyjazdów zagranicznych żołnierzy. Nie było tam jednak mowy o zaplanowanych wcześniej ćwiczeniach w ramach NATO.

Przysłania swoich kontyngentów odmówiło jednak kilka armii europejskich. Argumentowały to koronawirusem.

Jak ośmieszał się Duda. Mimo braku marines i większości sojuszników 11 marca na poligonie w Drawsku Pomorskim minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak uznał manewry za otwarte.

„Stany Zjednoczone wysyłają 20 tysięcy synów i córek, żołnierzy z kontynentu, świetnie wyszkolonych, gotowych, by zginąć za USA, sojuszników, Polskę. Nie ma lepszego dowodu na to, aby potwierdzić zaangażowanie USA” – twierdziła jak zwykle niedoinformowana amerykańska pani ambasador Georgette Mosbacher.

Uroczystość otwarcia megaćwiczeń uświetnił prezydent Andrzej Duda. „Obecność znaczących sił USA w Polsce jest dla nas bardzo dobrym znakiem, dlatego że oznacza bezpieczeństwo dla Polski, dla państw bałtyckich, dla tej części NATO. To bezpieczeństwo wynika m.in. z tego, że ćwiczenie Defender Europe pokazuje w praktyce działanie artykułu piątego Traktatu Północnoatlantyckiego” – ośmieszał się ignorancją.

MON kłamie. 2 dni po oficjalnym rozpoczęciu „Defender Europe 20” z US European Command do szefostwa MON i dowódców manewrów dotarła informacja, że „od 13 marca cały ruch personelu i sprzętu z USA do Europy został wstrzymany. Nie oznacza to jednak zakończenia ćwiczenia. Będzie ono realizowane w Polsce z udziałem amerykańskich żołnierzy, którzy już znajdują się w Polsce”.

Będący w Polsce amerykańscy żołnierze to oficerowie i kierowcy maszyn oraz mechanicy. Informacja amerykańskiego dowództwa stanowiła zatem dyplomatyczną formułę oznajmienia, że ćwiczeń nie będzie.

Propisowskie media tego nie dostrzegły. Eksponowały za to pusty komunikat MON, że „Polska jest w stałym kontakcie z sojusznikami i wspólnie analizujemy możliwości współpracy wojskowej w ramach ćwiczeń, aby w pierwszej kolejności ograniczyć rozprzestrzenianie się epidemii koronawirusa”.

Od ludzi z Pałacu Prezydenckiego można się dowiedzieć, że władze – grubo przed wystąpieniami Dudy i Mosbacher – wiedziały, że ćwiczeń nie będzie. Opóźnienie oficjalnej informacji było grzecznością Departamentu Obrony wobec Dudy. Zrobiono to po to, żeby mógł błysnąć w kampanii wyborczej.

Za ten miły gest 19 marca podziękowali przez telefon doradcy prezydenta USA ds. bezpieczeństwa narodowego Robertowi O'Brienowi szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego Paweł Soloch oraz Szef Gabinetu Prezydenta RP Krzysztof Szczerski.

W tym czasie MON kłamało, publikując komunikaty, że „ćwiczenia „Defender Europe 20” będą kontynuowane mimo pandemii koronawirusa”.

Nie kusić losu. Wśród polskich generałów zapadła konsternacja. Dla każdego żołnierza jest bowiem jasne, że ćwiczenia odbywają się bez względu na warunki. Generał Roman Polko pamięta sytuację z 1999 r. gdy z powodów pogodowych nie dało się realizować wcześniejszego scenariusza. Dowodzący ćwiczeniami generał nakazał zatem dostosować się do sytuacji i przećwiczyć to, co przyniosła rzeczywistość.

Tak właśnie powinni zrobić Amerykanie. Skoro była szansa prowadzenia ćwiczeń w warunkach pandemii nieszczególnie bardzo zagrażającej młodym zdrowym mężczyznom, to należało to zrobić. Taka sytuacja mogłaby nauczyć wojsko czegoś nowego i sprawdzić obowiązujące procedury. Podobnego zdania jest generał Waldemar Skrzypczak.

Zdaniem Polki ćwiczenia wojskowe nie mogą być „malowane” i ograniczać się do odgrywania sztuki napisanej przez scenarzystów sztabowych, bo na prawdziwej wojnie scenariusza

się nie zna.

Amerykanie jednak tak nie uważali. Zwinęli żagle i nie było najmniejszej próby modyfikacji ćwiczeń. Dlaczego? W środowisku wojskowych krążą dwie odpowiedzi. Pierwsza, „kurdyjska” mówi o tym, że obecna doktryna amerykańska każe się wojsku wycofywać w przypadku jakichkolwiek zagrożeń nie dotyczących bezpośrednio USA.

Innym prawdopodobnym powodem może być dla Amerykanów coś innego. W czasie manewrów za kilka spraw miała odpowiadać Polska, m.in. za zabezpieczenie medyczne operacji. Niektórzy generałowie uważają zatem, że amerykańskie służby wywiadowcze muszą wiedzieć, że wojskowa służba medyczna to coś, czego w polskiej armii nie ma. Mogli zatem uznać, że nieszczególnie groźna dla żołnierzy choroba mogłaby w takich warunkach zacząć uśmiercać amerykańskich chłopców.

Bez względu na powody amerykańskiej ucieczki z manewrów spece od wojskowości są pewni, że ta decyzja udowodniła, iż w razie problemów na amerykańską pomoc militarną nie mamy co liczyć.

Autorstwo: Tadeusz Jasiński

Źródło: TygodnikNie.pl